



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Katarzyna Matraszek

Dziecko Zamojszczyzny

Walczyłam na Majdanku o kromkę chleba. Brat zbierał pety dla dziadka, za co strażnik kopnął go w głowę. Moja przybrana matka miała przedziwny sen, nim stałam się jej córką... To wryło mi się w pamięć na całe życie.

Wiem i rozumiem, że Niemcy chcieliby zapomnieć o zbrodniach drugiej wojny, dość mają obwiniania ich za cierpienia i mordy narodów. Chcieliby oddzielić historię od współczesności i zakończyć dyskusje o niemieckich zbrodniach. Szczególnie nowe, młode pokolenie nie chce czuć się odpowiedzialne za czyny i zbrodnie hitleryzmu. Wszystko po to, by mogli wejść w XXI wiek bez żadnych historycznych win i obciążeń. Ale czy my – którzy ich zbrodnie przeżyliśmy, odczuliśmy na własnym ciele, własnej rodzinie, własnym losie – możemy o tym zapomnieć i to wszystko przekreślić, wymazać z pamięci?

Przeżyłam tę okrutną wojnę jako kilkuletnie dziecko. Mało pamiętam, nie umiem połączyć wydarzeń, mam wiele wątpliwości i pytań, które wciąż powracają i które staram się rozwikłać przy pomocy starszego brata. On więcej pamięta, bo miał wówczas osiem lat. Dziwne jest to, że częściej wracam myślą do tamtych czasów obecnie – w wieku dojrzałym – aniżeli wcześniej, kiedy zajęta byłam pracą, nauką, rodziną.

Jestem dzieckiem Zamojszczyzny – jak zwykle się nazywać dzieci, które przeszły wysiedlenie, pacyfikację, obozy oraz całą gehennę wojenną powiatów: zamojskiego, hrubieszowskiego, biłgorajskiego, tomaszowskiego. Urodziłam się w 1939 roku we wsi Bukowina pow. Biłgoraj w rodzinie chłopskiej. Rodzice moi prowadzili kilkunastohektarowe gospodarstwo, które zakupił ojciec za pieniądze zarobione ciężką pracą emigranta we Francji. Postawili sobie nowy, drewniany, ładny domek, w którym żyli rodzice, dziadek (ojciec matki) i nas czwórka dzieci. Ja byłam trzecim dzieckiem z kolei. Wszystko układało się szczęśliwie do czasu wybuchu wojny i pierwszych wysiedleń wiosek powiatu biłgorajskiego.

W tym okrutnym planie wysiedleń znalazła się nasza bogata, duża wioska Bukowina. Ludzie żyli ciągle w strachu, niepewności, dochodziły straszne wieści o mordach, gwałtach, rabunkach. Mężczyźni nie nocowali w domach. Organizowali się w oddziałach partyzanckich do zbrojnego wystąpienia w obronie swojej ziemi. Ojciec mój należał do Batalionów Chłopskich i wraz ze swoim siedemnastoletnim synem z pierwszego małżeństwa schronili się w lesie, chcąc uchronić się przed aresztowaniem.

Rankiem 1 lipca 1943 roku Niemcy otoczyli szczelnie naszą wieś, która liczyła około 300 numerów i wszystkich po kolei wypędzali z gospodarstw na drogę. Gestapowcy, żandarmi, Ukraińcy w służbie niemieckiej z bronią w rękę wpadali do domów i dając kilka minut na spakowanie najpotrzebniejszych

rzeczy, nieco żywności, wyrzucali z domów wrzeszcząc i popychając kolbami karabinów. W tym czasie w domu byli tylko moi bracia i ja z dziadkiem. Matka z najstarszą siostrą wygoniły krowy na łąkę pod las i widząc co się dzieje we wsi schroniły się w pobliskim zbożu, nad słuchując odgłosów wystrzałów, krzyków i warkotów samochodów. My przerażeni i wystraszeni znaleźliśmy się z dziadkiem na środku drogi we wsi, gdzie spędzono całą ludność – przeważnie starców, dzieci i kobiety. Pamiętam, że kiedy Niemcy wpadli do naszego domu głośno krzycząc i szukając starszych, zobaczyli świeżo upieczony chleb, który był rozłożony na łóżku. Kazali go zabrać. Wrzucili do worka, polecając nieść dziadkowi, ale ciężki worek był ponad jego siły, więc wrzucili go na furmankę. Ten zapach chleba i nieodżałowanych bułeczek, które były upieczone dla dzieci, prześladował mnie przez długą, głodną podróż do Zwierzyńca.

W czasie spędzania nas na drogę zostało zabitych kilkunastu mężczyzn, którzy próbowali uciec lub schować się w zabudowaniach gospodarczych. Znaleźliśmy się w straszny upał na polnych drogach prowadzących do Zwierzyńca. Pędzono nas piechotą, nie dając wiele czasu na odpoczynek. Mój starszy brat ciągnął nas jak mógł, ale przecież sam nie miał wiele siły. Siedemdziesięciokilkuletni dziadek ledwie szedł. Wielu ludzi padało – szczególnie starcy i dzieci. Wówczas wrzucano ich do rowu i dobijano. Dziadek bojąc się takiego losu uprosił konwojenta, aby pozwolił młodszemu bratu i mnie wsiąść na furmankę. Mieliśmy szczęście – zgodził się. Znaleźliśmy się na furmance obok rodzącej kobiety. Tak dobrnęliśmy do Zwierzyńca „za druty” (tak nazywano obóz przejściowy), gdzie wieczorem, po dwóch dniach podróży, dostaliśmy kubek czarnej kawy i kawałek chleba.

Niemcy rozdzielili rodzinę. Dziadek nakazał mojemu starszemu bratu, aby się nami opiekował. W obozie panował brud i głód. Wszy, pluskwy, pchły i wszelkie robactwo gryzło niemiłosiernie. Największą moją troską było to, aby nie zabrali brata. Trzymałam się go kurczowo, nie pozwalając mu ruszyć się na chwilę. Pewnego razu rozdzielili nas. To było straszne! Zostaliśmy przewiezieni do Zamościa. Dopiero tam odnaleźliśmy się wszyscy. Warunki bytowe w tym obozie były straszne: jedno-piętrowe prycze z desek, wszędzie dużo dzieci, nawet na środku placu w błocie, w szmatach leżały dzieci. Niewiele pamiętam, może tylko płacz, smutek i głód. Brat ciągle straszył nas, że jak nie będziemy jedli takiej brudnej, wodnistej burakowej breji (zupy), to umrzemy i zapakują nas do takiej dużej skrzyni, gdzie składano po sześćoro zmarłych dzieci.

Obóz był przepełniony. Dziś wiem, że przebywało w nim około 12 tysięcy więźniów, a był dla 4 tysięcy osób. Brat mój pamięta, że barak, w którym mieszkaliśmy, był na wysokich palach i pod nim można było schować się i obserwować, co się dzieje na placu. Zmarłych, których umierało lub zabijano od 20 do 30 dziennie, grzebano na miejscowym cmentarzu nie sporządzając aktów zgonu.

Ojciec, kiedy dowiedział się o naszym losie, czynił starania, aby nas wyrwać z obozu, ale okazało się to niemożliwe. Pamiętamy tylko, że w Zwierzyńcu dotarł do nas przez przekupionego strażnika ogromny bochen chleba, który za bimber zdołał nam przekazać. To był ostatni kontakt z ojcem. Niemcy, dozorczy obozowi, byli panami naszego życia. Wystarczyło, że któryś z Polaków nie spodobał się, nie wykonał polecenia – mógł być natychmiast zastrzelony. Brat pamięta, jak pod naszym Barakiem konał z upływu krwi i wycieńczenia postrzelony przez Niemca mieszkaniec naszej wsi, który nieopatrznie zbliżył się do drutów.

Z obozu zamojskiego po trzech tygodniach zostaliśmy przewiezieni do Lublina na Majdanek. Całe szczęście, że było to lato i nie cierpieliśmy chłodu. Zimowe transporty zamojskich dzieci szły do pieca bez gazowania, ponieważ większość była już zamrożona. Obóz na Majdanku był przepełniony, więc zostaliśmy stłoczeni w barakach tzw. „zamojskich” na przedpolach obozu właściwego, który był oddzielony wysokimi drutami.

Nigdy nie zapomnę zdarzenia, które utkwilo mi w pamięci jako najboleśniej przeżyte. Zawsze głodna błąkałam się po obozie. Nagle znalazłam się oko z kilkuletnią dziewczynką (córką strażnika), która jadła chleb z marmoladą. Patrzyłyśmy na siebie wrogo i nagle wyrwałam jej ten kawałek chleba i zaczęłam uciekać. Dziewczynka zaczęła krzyczeć i wtedy wybiegł z baru jej ojciec w koszuli z szelkami na plecach, dopadł mnie i kopnął z całej siły tak mocno, że wyrzucona jak piłka znalazłam się w dole kloaczny, już na polu obozowym. Więźniowie wyłowili mnie z kromką chleba w garści. Brat zbierał po obozie niedopałki papierosów porzucone przez strażników. Robił to dla dziadka, który był namiętym palaczem. Na te niedopałki czyhało wielu więźniów, ale brat – mały, sprytny – zawsze wygrywał wyścigi po peta. Raz został tak mocno kopnięty w głowę ciężkim butem przez Niemca, że długo nie słyszał na ucho.

W tym czasie Niemcy, naciskani przez Międzynarodowy Czerwony Krzyż i polską Radę Główną Opiekuńczą, chcąc wykazać się swoją humanitarną postawą zgodzili się, aby 1200 dzieci zamojskich rozdzielić do poszczególnych gmin województwa lubelskiego, gdzie miały się nimi zaopiekować miejscowe komitety RGO. Pod koniec września zostaliśmy przewiezieni w towarowych wagonach do Puław. Transport nasz składał się przeważnie ze starców i dzieci w wieku od 4 do 12 lat. Ludzie ci byli bardzo wycieńczeni, chorzy, brudni, zawszeni. Nasza trójka z dziadkiem została przydzielona do Kurowa. Przywieziono nas furmanką do starej, drewnianej szkoły

przy ulicy Lubelskiej (dziś już nie istniejącej). Tam serdecznie zajęli się nami członkowie komitetu RGO, na czele którego stał ówczesny kierownik szkoły Stanisław Rączka. Wiele dzieci wymagało natychmiastowej opieki lekarskiej i odżywienia. Zdrowsze i większe znalazły miejsce u gospodarzy. Dziadek z najstarszym bratem został przyjęty przez dobrych gospodarzy w Chrzążówku. Ja z młodszym bratem, który był w stanie prawie agonialnym, leżeliśmy w szkole, gdzie zajął się nami serdecznie miejscowy lekarz i troskliwe panie z komitetu RGO i PCK. Kolejne choroby – tyfus i biegunka wymagały kwarantanny i dłuższej kuracji. Byliśmy owrzodzeni, słabi, wycieńczeni i nie dawano nam wielkiej nadziei na przeżycie. Ale nigdy do końca nie wiadomo, jaki kogo los czeka. Tak i tu stał się cud i pewnego dnia otworzyłam przytomnie oczy i zawołałam: „mleka!” Była przy mnie akurat pani Antonina Dębowska, która ofiarnie pracowała przy chorych i zapytała jak się nazywam. Odpowiedziałam śmiało – „Kasia i chcę pić i jeść”.

Oczywiście wracałam szybko do zdrowia mając taki apetyt i zostałam u państwa Dębowskich, którzy byli bezdzietni. Brat młodszy znalazł serdeczną, oddaną opiekę w rodzinie państwa Trolewskich i wyzdrowiał. Moja druga – kochana, troskliwa mama opowiadała, że miała sen, w którym widziała dziewczynkę o takim imieniu i uznała to jako spełnienie marzeń i zrządzenie losu.

W tym czasie dziadek dowiedział się o tragicznym losie mojego ojca i przyrodniego brata, którzy przyszli nocą do matki, aby dowiedzieć się o naszym losie i trafili na zasadzkę, ponieważ mieszkający we wsi Ukraińcy donieśli Niemcom o nocnych odwiedzinach partyzantów u swoich rodzin. Ojciec został zastrzelony 9 lipca 1943 roku na ścieżce prowadzącej do domu. Dalej zastrzelono brata, który uciekał i był już o krok od lasu.

Nieraz rozmyślałam nad tym, jak moja rodzona matka mogła to przeżyć, jak musiała być załamana, nieszczęśliwa, patrząc na ich śmierć. Została bez domu, bez środków do życia, gdyż nasze gospodarstwo zajął Ukrainiec z rodziną i w dodatku nic nie wiedziała o losie naszej trójki i dziadka. Nawet nie pozwolono jej zabrać ciała ojca i brata i pochować. Dopiero po jakimś czasie dokonano ekshumacji i pochowano ich na cmentarzu w Biszczy. Tej samej nocy zastrzelono sześciu mężczyzn z naszej wsi, którzy nocą przyszli do swoich domów.

W takich okolicznościach moja matka czyniła starania, aby nas odnaleźć i udało jej się po wojnie dotrzeć naszym śladem do Kurowa. Zabrała dziadka i chłopców na wieś, a ja miałam pozostać u państwa Dębowskich, ponieważ mama nie miała żadnych środków na utrzymanie i mieszkanie. Niestety, przeżycia wojenne, bieda, ciężka praca, kłopoty nadszarpnęły zdrowie matki, która w młodym wieku umarła. Rodzeństwo moje powróciło i zamieszkało w rodzinnych stronach, a ja pozostałam u przybranych rodziców, którzy mnie adoptowali w 1953 roku i wykształcili. W Kurowie pracowałam później jako nauczycielka i mieszkam tu do dziś. Zdaję sobie sprawę, że mój los to jeden z wielu wojennych losów dzieci Zamojszczyzny. Taki los dotknął około 35 tysięcy dzieci. Wiele z nich zginęło zagłodzonych, zabitych, zamarzniętych. Wiele wywieziono do Niemiec i zniemczono. Ja przeżyłam wraz z rodzeństwem, jestem jedną z około 5 tysięcy jeszcze żyjących i uważam, że naszym obowiązkiem jest nie zapominać, głosić prawdę, nie pozwalać na zamazywanie, umniejszanie i traktowanie marginesowo tragedii dzieci Zamojszczyzny, których losy są świadectwem szczególnego barbarzyństwa niemieckiego dokonanego na polskim narodzie.

Jednocześnie pisząc te wspomnienia chciałabym złożyć podziękowanie i hołd tym wszystkim Polakom, którzy ratowali nas z narażeniem własnego życia. Ratowali nas z transportów, z obozów, dokarmiali, leczyli, a nawet wykupywali z rąk konwojentów obozowych i kolejowych. Ci szlachetni ludzie to kolejarze, lekarze, nauczyciele, działacze PCK, RGO i inni zwykli ludzie – zawsze ofiarni i patriotyczni. Dzięki nim przeżyliśmy i dzięki nim zatarły się te straszne wspomnienia i mogliśmy stać się normalnymi, nie okaleczonymi na całe życie istotami.